

<p>ZŁOTY RÓG ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY</p>		<p>REDAKCJA i ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. KRÓLEWSKA 27 TEL. 226-83 i 152-05.</p>
--	---	--

N^o

WARSZAWA

DNIĄ 8 WRZEŚNIA 1912 R.

38

Mądrość życia.



a użytek naszej mądrości politycznej w okresie przedwojennym trochę pożyczek z angielskiej filozofii życia. Więc przede wszystkim, co myślą anglicy o postępie.

Powiadają, że nie było takiej dobroczynnej idei na świecie, któraby nie była potępiona w dniach, w których się poczęła, przez pokolenie, wśród którego się zjawiała. Każda innowacja staczać musi zażartą walkę o swoje własne życie. A tylko błędy raz w ruch puszczone trwają ustawicznie, dopóki nie zostaną zepchnięte przez mocniejszą siłę. Stare metody myślenia i działania utrzymują się zawsze dopóty, dopóki ktoś nie wynajdzie nowej i lepszej drogi, nie oddaje jej swego życia i nie jest gotów umrzeć dla jej zwycięstwa. Zdarza się często, że rozumni ludzie opierają się postępowi. Nie czynią tego jednak z nienawiści do postępu, ale przez miłość do inercji. Nawet tak wielki człowiek, jak John Ruskin zapowiadał, że koleje żelazne zrujnują Anglię, ponieważ koczybryki przestaną przynosić dochody, zapotrzebowanie koni zniknie i chodowcy dojdą do bankructwa. Tomasz Jefferson opowiada w swojej autobiografii o jednym ze swoich sąsiadów, który, był przeciwny szkołom publicznym, uzasadniając swoje stanowisko tem, że jeżeli każdy będzie umiał czytać i pisać, nikt nie zechce pracować. Z podobnymi argumentami przeciwko oświacie powszechnej występował jeszcze za naszych czasów Pobodonosew. William Berkeley dziękował Bogu, że w kolonjach angielskich nie wychodziły gazety, ponieważ twierdził, że gazety drukują przeważnie kłamstwa i robią interesy na oszukiwaniu ludu. Jeszcze za czasów Mozarta muzycy należeli do tej samej kategorii co stajenni, pomywacze, błazny i kucharze. Dawano im jeść pod schodami a zajęciem ich było bawienie pana,

który ich wynajął i jego gości. Słowo „interes” „business” użyte zostało po raz pierwszy za czasów Chancera i wyrażało pogardę dla ludzi, którzy z niego czerpali swoje utrzymanie. Projekt oświecania miast gazem uznano z początku za równoznaczny z zamiarem podpalenia ich. Elektryczność budziła przestרחi i zgrozę a zakładanie piorunochronnych konduktorów uważano za upraszanie piorunów, aby nawiedzały nasze domy i zabijały jego mieszkańców. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu człowiek, który dawał ogłoszenia do gazet ścigał na siebie podejrzania, a do dziś dnia są jeszcze zawodowe korporacje, które mają za złe swoim członkom, jeśli reklamują się w dziennikach, uważają to za „niewłaściwość“.

Rzut oka wstecz w historję kultury dostarcza tedy tysiące dowodów, że każda rzecz użyteczna, dobra i piękna przez długi czas pozostawała pod klątwą opinii i piętnowana była jako rzecz zła i niebezpieczna. To też angielska filozofja życia poucza: Jeżeli sądzisz, że coś jest słuszne, nie troszcz się o to, co inni o tem mówią, ale stań przy niej wiernie — i jeżeli chcesz dobrze służyć swemu społeczeństwu i zasłużyć na jego niespożytą wdzięczność w przyszłości, wybierz właśnie sprawę niepopularną, którą uważasz za słuszną, pracuj dla niej, żyj dla niej, umrzyj dla niej!

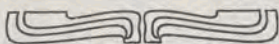
Obaczmy co mówią dalej anglicy o stosunkach życia publicznego do religii. Twierdzą że życiu publicznemu potrzebna jest religja. Ale powiadają, że religja życia publicznego apostołowana być musi bez dzwonów spizowych, bez fanfary potoków wymowy, bez strzałów do niewiernych, bez argumentów, agitacji czy gwałtów. Zwolna i pewnie zdobędzie ona cały świat. Wyznają ją nietylko wszyscy kaznodzieje chrześcijańskich kościołów, wszyscy rabini, bonzowie, kapłani i nauczyciele. Jest ona tak rozumna, tak słodka, łagodna, ujmująca,

tak prosta, tak oczywista, że przyjmowana jest wszędzie bez opozycji, ba — nawet bez świadomości, że ona rzeczywiście istnieje. Nie narusza ona w niczem starych wierzeń, nie dotyka ich formy, nie dba o to, jak sobie radzą z przenikaniem w nią sceptycyzmów ducha czasu. Oblewa ją tylko własnym promiennym światłem. Nawet gdyby runęły, z ruin ich wydobędzie kamienie, z których zbuduje nowe świątynie przyszłości. Treścią jej jest tylko to, że to co jest dobrem w tem życiu, musi być dobrem i w innym. Zajmuje się jednym tylko doczesnym światem. Przedmiotem jej jest uwielbienie ludzkości. Nie wysila się na to aby zawrzeć przymierze z niebiosami, uczy człowieka, że jego uczucie powinno polegać na przymierzu ze swymi bliźnimi. Jest to religja samozachowawczości i to zapewnia jej podporę najsilniejszych uczuć serca ludzkiego. Nie jestto religja objawiona w tem znaczeniu, że poddał ją jakiś szept z zaświatów jednostkom wybranym; jest jednak przeciwieństwem religji w swoich zamiarach i czynkach, w swoim trybie myślenia.

Urodziła się wśród tłumów; głównymi jej rozkrzewicielami byli ludzie pochłonięci pracą. Nie wymaga ani tłumaczeń, ani wyjaśnień, ani obrony. Zjawiła się z systemem ujednostajnienia wartości; została przyjęta, gdy odkryto, że uczciwość jest cennem dziełactwem. Prawdy tej religji są proste. Kłamstwo prowadzi prosto w oetłian. Popłaca tylko prawda. W każdej tranzakcji wszelkiego gatunku i zakresu obie strony, które ją zawierają muszą odnosić korzyść. Ta religja życia publicznego dąży do zagłady lęku, zwątpienia, nienawiści i przesądu; doprowadza do rozkwitu współczucie, wyobraźnię, nadzieję, wiarę i miłość. Daje moc przenoszenia się na miejsce swego bliźniego. Nie uznaje ani tyranji, ani gwałtu, ani

groźby. Zwycięża tylko przez siłę moralną, którą ma w sobie. Ten kto ją wyznaje błogo się czuje i dochodzi do pomyślnego stanu. Przez nią świat dąży do swego wybawienia. Choroby, troski, pretensje, niesnaski, zgryzoty znikają pod jej technieniem. Głównym rysem charakterystycznym tej nowej religji — jest jej starożytność. Była ona zawsze dobrze znana niewielu umysłom szlachetnym. Ale teraz zaczynają przyjmować ją masy i praktykować ją w życiu codziennym. Uczą jej we wszystkich publicznych szkołach, związkach, sklepach, fabrykach, bankach, głównych śródowniskach cywilizowanego świata. Uczą jej na Zachodzie w kolejach żelaznych i w farmach, uczą jej ci, którzy palą w kotłach i ci co sieją aby zbierać. Jest to religja Publicznego Zmysłu! Zdrowego Sensu — anglicy obejmują te dwa pojęcia jednym tylko zwrotem: „Common Sense“. Jej podstawy stanowią: przemysł, gospodarstwo, technika, przedsiębiorczość, wymiennność, fachowość, otucha, wzajemność, współduchowość, pojęcia nieraz nawet naszymu językowi obce, jak officieny, expediency, appreciation, good-cheer — wszystko to razem rozświetlone przez wspólną miłość humanitarną.

Porównajmy tę mądrość życia anglików z naszym umiłowaniem inercji, z naszą skłonnością do pełnego przesądów obskurantyzmu, z naszą zacieklą waśnią publiczną i zardrosną walką o wpływy i korzyści, a zrozumimy, jaka nas przecie dzieli przepaść od dojrzałości publicznej myśli społecznej. W momentach, w których nadchodzi czas rozrachunków sumienia i plonów na przyszłość, dobrze jest o tem pamiętać i pomyśleć o środkach, któreby nam dopomogły do otrząśnięcia się z czadu, w którym się dławimy i do odetchnięcia pełną, świeżą atmosferą energii i pogody bytu.



Swego nie znacie...

Rosja zawarła konwencję literacką z Francją, za nią przyjdzie konwencja z Niemcami, a w końcu i z innymi państwami połączonymi międzynarodową umową, dotyczącą literackiej i artystycznej własności. — Pośrednio wpłynie to i na stosunki wydawnicze tych narodów, które — jak nasz w obrębie Cesarstwa rosyjskiego posiadają główne ogniska ruchu księgarskiego. Wprawdzie Kraków i Lwów skutkiem przyjaźniejszych stosunków politycznych, przewyższają już dziś Warszawę pod względem ruchu umysłowego, niemniej ta okoliczność, że najliczniejszy odłam narodu zamieszkuje po tej stronie kordonu i bezpośrednio tutaj nasycać musi swe po-

trzeby duchowe, sprawia iż warunki wytwarzania i puszczenia na rynek książkowego towaru wywierają wpływ na całą naszą produkcję wydawniczą a pośrednio i na umysłowość narodu.

Dotychczas przekłady z języków obcych korzystały z handlowego przywileju i wypierały w pewnej mierze produkcję rodzimą lub nie dały się jej rozwinać. Wydawcy mniejsze ponosili kosztą płacąc niskie honoraria tłumaczom niż skromne wprawdzie, ale bądź co bądź znacznie wyższe autorom miejscowym. Wprawdzie nadmierna podaż sił pracujących wywoływała zniżkę zarobków i ceny przekładów bywały nieraz śmiesznie

małe, każdy bowiem kilkojęzyczny a piśmienny osobnik, nie umiejąc nic robić innego, próbował zarabiać tłumaczeniem, jednakże położenie materialne autorów oryginalnych było stosunkowo znacznie gorsze. Wiem o wypadkach, gdy znany i ceniony uczony zaofiarował wydawcy swą pracę za cenę przekładu, byleby ją tylko raczył drukować. Oczywiście nie dotyczy to w tym samym stopniu beletrystyki, ta bowiem ma zbyt łatwiejszy i lepiej opłaca kosztą produkcji. — Wszystkie inne działy piśmiennictwa wypenione były u nas pracami autorów obcych.

Następstwem tego było oprócz chronicznego i beznadziejnego ubóstwa naszych własnych pracowników myśli i sztucznie podtrzymywane ubóstwo naszego piśmiennictwa.

Książek oryginalnych zjawiało się stosunkowo bardzo mało; te które drukowano zawdzięczały swe pojawienie się na rynku księgarskim ofiarności samego autora, lub jakiegokolwiek grupie mecenasów, a tylko bardzo rzadko księgarzów-nakładców. Lwia część tego, co myśl polska wypracowała, pozostało nie drukowane lub nawet nie napisane.

Czytelnicy przywykli już do tego, że chcąc się kształcić w jakiegokolwiek dziedzinie, ze źródeł cudzych czerpać należy. — Karmiąc się wyłącznie niemal wytworami umysłowości obcej powstałymi w innym środowisku, wyrosłami na gruncie danych tradycji — bez porównania lepiej znali rozwój myśli zachodnio-europejskiej i jej współczesne prądy niż dawną a nawet współczesną kulturę duchową polską.

Zresztą niesłusznie nawet użyto w poprzednich zdaniach czasu przeszłego; ten stan rzeczy trwa do obecnej pory, — na co niemało znaleźć można dowodów. Nasi uczeni często znacznie lepiej są znani, wyżej cenieni przez świat naukowy Europy niż przez inteligencję Warszawy i Królestwa Polskiego, ta zaś umiając w każdej dziedzinie nauki wyliczyć najslynniejsze nazwiska niemieckie, francuskie, angielskie, nawet włoskie i duńskie, ze zdumieniem nieraz dowiadyuje się od obcych, że i w Polsce są ludzie zasłużeni na tem samem polu, że mogłaby się nimi poszczycić przed zagranicą, gdyby o nich wiedziała.

Ta absolutna ignorancja, to systematyczne lekceważenie i pomijanie rodzimej twórczości ułatwia import i zbyt bezwartościowego towaru z zagranicy. — W przekładach wychodzą u nas książki takich autorów cudzoziemskich, od których bezwarunkowo czytelnik polski nieczego się nauczyć i nie skorzystać niemoże, reklama handlowa nadaje im sztuczny rozgłos i wydyma ich wielkość bardzo nieproporcjonalnie do ich wiedzy i talentu.

Jest rzeczą bardzo normalną i wielce pożądaną, aby każdy naród czerpał z ogólnej skarbnicy myśli ludzkiej dla podsycecia własnego życia umysłowego. Geniusz jest

międzynarodowy. Wielkie odkrycia naukowe, narodziny nowych prądów myśli, objawienie nowych prawd — stanowią wspólną własność całego cywilizowanego świata. Krzywdę wyrządziłoby sobie społeczeństwo, gdyby — rozkochane w swojszczyźnie chciało płotem kolczastym odgradzić swoją grzędę od posiewu obcego geniuszu. Poczóż jednak importować masami to, czego nigdzie niebraknie i na czem nam samym nie zbywa? Płytki dyletantyzm, błyskotliwą fuszerkę, zręczną błagę lub przyjemnie w ucho wpadające komunały?

A ileż to takiego towaru zwalono u nas w ciągu ostatnich lat czterdziestu na rynek księgarski!

Ten protekcjonizm w odwrotnym sensie wiodł do systematycznego zaniku oryginalnego ruchu umysłowego. Przeciętny inteligent polski na jedną myśl własną, posiada najmniej sto tłumaczonych z niemieckiego, francuskiego lub angielskiego. Jeżeli dodamy do tego jeszcze wpływ obcej szkoły, która przez długi czas odgradzała kształcąca się młodzież od źródeł kultury polskiej, czyniąc z literatury i historii ojczystej przedmiot zakazany — będziemy mieli nieomal pełny obraz spustoszenia, jakiego dokonał ten obcy najazd w duchu narodu.

Na tem tle pozostają bardzo ciekawe i przykre objawy. Wiemy, że każdy autor chcąc pewien pogląd uzasadnić i rozwinąć, sięga do przeszłości i szuka dla niego rodowodu, niekiedy aż w świecie klasycznym, zawsze jednak czuje się w obowiązku wyśledzić i wykazać jego stopniowy rozwój u własnego narodu. Żaden Niemiec, Anglik, Francuz nie dopuści się tego pominięcia i przeoczenia. Tylko u nas ustalili się zwyczaj systematycznego uwzględniania obcych a pomijania własnych kondycji.

Wychodzą książki o reformatorach wychowania, począwszy od Kwintyljusza aż do Frebla. W nowszych wydaniach byłyby zapewne uwzględniony i Dezmolius, Foerster, Decroly i — odpuść Boże! Le Bon, ale nie byłoby oczywiście ani Konarskiego ani Kołłątaja.

Żaden z polskich czytelników nie domyśla się nawet, że w dziełach tego ostatniego, pedagog współczesny znaleźć może genialne wskazania, które i dziś jeszcze odrodzić i udoskonalić by mogły szkolnictwo i wychowanie — po Foersterze.

Każdy poczytywałby za karygodne nieuczucie, gdyby ktoś osmielił się w Polsce mówić i pisać o pedagogji, nie wiedząc kto był Rousseau lub Pestalozzi. Fakt absolutnej nieznamomości pism Kołłątaja nigdy nie gorszył nikogo. Każdy wykształcony człowiek ma obowiązek wiedzieć, kto był Montesquieu; o Modrzewskim wolno nie mieć najmniejszego pojęcia. Dzieje konstytucjonalizmu europejskiego zaczynają się dla nas w Angji a rewolucja francuska stanowi zawsze kolebkę jego rozwoju na europejskim kontynencie. O buj-

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

nym i świetnym rozkwicie idei i instytucji konstytucyjnych w Polsce — mówi się tylko za panią matką pacierz: „Była to pseudo-republika a właściwie anarchja szlachecka” — jak gdyby anarchja nie była tu tylko objawem przejściowym, a właściwie schyłkowym, i jak gdyby w owym czasie, gdy Rzeczypospolita chyliła się do upadku, istniało gdziekolwiek, choćby nawet w owej wzorowo konstytucyjnej Anglii jakiegokolwiek państwo nieszlacheckie, to jest nie oparte na feudalizmie!

Świętochowski pisząc swoje dzieje utopji zaczął je oczywiście od Platona. Sumiennie, skrętnie, systematycznie wyliczał wszystkich nietylko słynnych, lecz drugo i trzeciorzędnych autorów utopji, zaznaczył bujny rozkwit tego kierunku w końcu 18 wieku, a o Polsce wspomniał nawiasowo, że tam nie pojawiła się żadna koncepcja tego rodzaju.

Tymczasem autorem utopji polskiej był nie kto inny, jeno słynny biskup warmiński Ignacy Krasiecki a jego przygody „Doświadczyńskiego” miały i rozgłos i licznych czytelników.

Socjaliści polscy do bardzo niedawnego czasu nawet nie przypuszczali i nie przeczuwali, że istnieje bogata literatura emigracyjna, zawierająca oryginalne na gruncie warunków polskich wyrosłe idee przeobrażenia społecznego.

Jesteśmy wszyscy jako dzieci od piersi macierzyńskiej oderwane i oddane na mamki.

Zerwały się wszystkie nici wiążące umysły dzisiejszego pokolenia z pracą ducha pokoleń minionych, i zawsze skłonni jesteśmy wierzyć, że tutaj na ziemi ojców przed nami nie było, nikt nie zmagał się z zagadką bytu, nikt nie dobywał z mózgu swego iskier, któreby ją rozświetlić i jasny trzask w głowach polskich rozniecić mogły. Nasi mędrcy, uczeni, działacze, reformatorzy społeczni pracowali nie dla nas, pracowali, na darmo... Nietylko po nad ich prochami lecz zarówno i nad dziełem ich życia gęsta trawa porosła...

Dziedzinę ducha polskiego zagarnął najazd obcy, w świecie myśli i kultury jesteśmy tułaczami i emigrantami, którzy się po całym świecie rozleźli za chlebem, a przestali uprawiać zagon rodzinny i z niego się karmić. Czas powrócić do domu. Może młode pokolenie — wzorem ostatniego bohatera Żeromskiego — rozkopie ojczyście mogiły i zaczerpnie z nich technienie nowego życia.

Iza Moszczeńska.



— To ci los!

— To ci dola!

— Pocałujmy się —

— Tylko cicho, cicho, cicho, bo teraz łatwo kto zejść a posłyszeć nas może.

I zbliżyły się ku sobie usta młode a słodkie a ciepłe a wonne i cicho, bardzo cicho przyłgnęły.

Wojewodzina oczekiwała przyjścia małżonka. Już dawno nie czuła się tak pokrzepioną na siłach, jak dzisiaj. Nie wierzyła bajce Przemkowej, a jednak ona, więcej tchem wiosennym, miała w sobie czarodziejską moc uzdrowień. Prawda-li czy nie prawda była w pieśni onej, dość, że serce poruszyło się silniej w piersi chorej, że rozwinął się przed nią bładny cień tęczy, że dusza jej biedna zakolysała się choć złudnem marzeniem. Dobra i nie dobra bajka! nawiewa i rozwiewa sny, budzi wiarę w niewidziane szczęście jakieś i rzuca w zwątpienie — Dobra i nie dobra bajka! a jednak kazała zagrać rumieńcom na policzkach bładnych i śnić i łudzić się i chwytać sen nieuchwytny. Rozsądek niewiarę budził, bo co Przemko mógł wiedzieć o tajemnicy jej serca, o tem, co w głębi jej duszy się kołysało, co było jej życiem i śmiercią. To też łzami dużymi napełniały się jej oczy smutne, lecz myśl nie mogła odegnąć nasuwających się obrazów wiosny, przyjść mającej, jakiejś chwili stanowczej, której nie powstrzyma ni król, ni... wojewoda! —

Król?.. dlaczego po nim dopiero padło tamto, drugie słowo, niby wzmacniające znaczenie bajki całej?.. Wymagał-li tego dźwięk bliźni, niezdarność rymotwórcy czy chęć, by szczególną uwagę na nie zwrócono? — Nie było zgrzytu ni żadnych nieporozumień logicznych w bajce całej; „wojewoda” myśl spletał — a może właśnie rozpletał?.. Pani Dominika chciała zawołać Przemka do siebie i zapytać o sens wypowiedzianej bajki — ale znów rozsądek jej mówił: co Przemko może wiedzieć?... Zali nie można z każdej, zasłyszanej piosenki wieśniaczej wysnuć wróżby jakiejś dla siebie, jeżeli się chce tylko?.. a któżby wiarę dawał tym wróżbom? — Dusza jej tak rozstrojoną była, że w przygodnej bajce Przemkowej, wypowiedzianej z uczu-

ciem, związanej rymami dźwięcznymi, osnu-
tej mgłą tajemnicy, której sam pieśniarz nie
rozumiał może, dojrzała pragnienia własne,
długimi wykołysane nocami, gdy wołany
sen nie przychodził. A jednak czuła się
zdrowsza, przyjscia zapowiedzianej wiosny
spragniona. Nie mogła już na miękkiej ule-
żeć pościeli. Serce biło mocno, raz wraz na
jagodach wykwitwały róże rumieńców. Pod-
niosła się z łoża—Perelka ją ubrała. W bia-
łym atlasowym stroju wyglądała prześlicznie;
na nogach błysnęły pantofelki złociste, ko-
ronkowy czepek omglili złoto warkoczów. Za-
nurzyła się w miękkim, głębokim krześle
i czekała z sercem bijącym zapowiedzianych
odwiedzin małżonka.

Klamka brzęknęła —

W piersi pani Dominiki stanęło serce—
twarz zbladła—przez ciało przeszedł dreszcz.

Wojewoda nie długo bawił. Z rycerską
grzecznością ucałował wąż rękę żony, wy-
powiedział swą radość, że wreszcie zdecydo-
wała się nieznośne łożo opuścić, kilka grzecz-
nostek o jej urodzie powiedział, uśmiechnął
się nawet zadowolony, a odchodząc, rzekł:

— Krzep się, Dominisiu! bo mi się już
ckni bez niewiasty.

Poruszyła głowę, długim spojrzeniem
przeprowadzając opuszczającego ją małżonka.

Życzenie „pokrzepienia się“ miało po-
ciechę przynieść a strach rzuciło w piersi
pani wojewodziny.

— Wiosny! wiosny! zagrało w jej duszy
bajką Przemkową. Oczy napęchły się łza-
mi, łkanie piersią zakołysało.

IX.

Nie spodziewał się Jasieniec, że nieod-
stępnych stróżów kilku miał przy sobie. Nie
mogąc się pogodzić z hałasem pana Niko-
dema, która rozbijała po drogach, dalekie
nawet wyprawy przedsiębiorąc, i z mniej
lub więcej obfitym łupem do Smolenia wra-
cała — pogardliwie a wyniosłe ją traktował,
czem wzbudzał wśród niej postrach, lecz
i nienawiść zarazem. Postrachowi zawdzię-
czał, że żaden z tych hultajów zbliżyć się
ku niemu, ani okoniem stanąć nie śmiał,
a gdyby się coś podobnego zdarzyło, to za
całą odpowiedź trzepnąłby w pysk nie w sza-
blę; natomiast nienawiść głucha rodziła
w tych duszach znikczemniałych niskie
uczucie zemsty, któreby w chwili stanow-
czej nie wzgardziło i nożem skrytobójczym.
Bystre oko pana Nikodema pochwytywało
nieraz ruchy rąk podejrzane, które tylko

krepowala obecność lwa starego i strach
przed jego gniewem; słuch ostry zasłyszał
nieraz groźbę głuchą, rzuconą przez zaciśnię-
te zęby. Pan Nikodem obawiał się jakiegos
przypadku wytłómaczonego wypadkiem, o co
nie trudno było w okolicy, najeżonej skała-
mi a przepaściami podartej, przepelnionej
zwierzem dzikiem i bezdomnymi włóczęgami.

(d. c. n.)



ANATOL FRANCE.

(SYLWETKA)

Kiedy przed orszakiem Apollina pierzeły
roje natrętnych i beztreściwych epigonów Alfre-
da de Musset'a, w zwycięskiej kohorcie wojow-
ników Piękna, którzy zastąpili z Parnasu, można
było dostrzedz dziwną twarz, dobroliwie uśmiech-
niętą, o zaczerwienionych białkach oczu, praw-
dopodobnie skutkiem zbyt długiego czytania po
nocach. Była to twarz Anatola France'a. Ten
człowiek miał w duszy świętą ciszę, sprzyjającą
pracy umysłowej, nie był zmęczony życiem, ani
pożerany nieznanymi pragnieniami, które wyssa-
ły pogańską krew Verlaine'a; posiadał zato cechę,
wprawdzie właściwą swojej rasie, ale w nim
doprowadzoną do potęgi niesłychanej, a miano-
wicie: entuzjam dla wszystkiego, co ludzkie.
To też France, wcześniej się musiał wyrzec ideo-
logii stałej, ujętej w reguły z czemskolwiek
powiązanej; wyszedłszy poza nawias ideowych
i klasowych walk, wyrzekłszy się nawet, tak
ponętnego w epoce nietzscheańskiej, odwracania
pojęć, jednocześnie umieścił siebie gdzieś pośrodku,
niby widz wykwintny a prerafinowany, jedynej
damie wierność dochowując (on, niewierny adept
kultów, które po kolei zdradzał) znużonej i ka-
prysnej, czasem zadumanej, noszącej imię: Cie-
kawość Życia.

Kochał ją w ciszy bibliotek; często opusz-
czała go i musiał ją szukać w długie, samotne
noce, między wierszami żółtych rękopisów;
niekiedy wychylała się figlarnie z poza inicja-
łów purpurowym kwieciami oplecionych, o łądy-
gach ze złota zielonego. Niekiedy mistyczne
różycy katedr gotyckich, jej uśmiechem go wabiły;
biegł ku nim z wyciągniętymi rękami, ale coś,
co go nigdy nie opuszczało, smutny sceptycyzm,
właściwy „szczętkowemu“ rodzajowi „homo sa-
piens“ — ploszył złudę. W ten sposób zatracając
swoją zewnętrzną, fizyczną istotę, przekształcał
się, granit ducha, w tyglach myślenia topiąc na
ławę o dziwnych poblaskach; zyskiwał inny
wzrok, nowy sposób patrzenia na życie, odkry-
wający szerokie horyzonty, całe światy, dotych-
czas nie spostrzeżone.

Lata spędzone w cieniu ksiąg zapyłonych,
rozkwitły mu w cudny, niepokalany kwiat, o woni
darzącej przekonaniem, że człowiek jest
dobry. Była to jedyna prawda, w którą Fran-
ce uwierzył całkowicie i punkt wyjścia jego
twórczości. „Człowiek nie jest zły — mówi
France — jest tylko słaby, gdyż ulega ciem-
-

stwu instynktów, popychających na drogę występku". Ujawniając prawie zachłanną chęć czynienia ustępstw na rzecz możliwości, w bezmiernej swej wyrozumiałości (niby św. Franciszek z Asyżu) wszędzie dostrzega barbarzyńcę. Barbarzyńca, podług niego, to duże dziecko, nieświadomą sobie istoty zła, gwoli rozkoszy zmysłowej, za głosem instynktu dążące. Pokutuje on w duszy mnicha średniowiecznego, depcącego krzyże na szczycie ekstazy religijnej, kiedy fala krwi zalewa mózg, jest kręgosłupem człowieka, zaprzeczeniem człowieczeństwa i jednocześnie, jego wyrazem, jest przyczyną grzechu, który rozbraja, i bohaterskim czynem, który rozczula. Ta gra światła i cieni w człowieku, walka zwierzęcia z duchem, szatana z aniołem, grzesznika z ascetą rozrzewnia France'a i za-

ciekawia, nie jako obiektywnego widza, gdyż sam przyjmuje żywy udział w tych zapasach, zawsze stając po stronie hellenńskiej czci dla tego, co cielesne: „Miód twój i usta twoje dziewczyno, słodsze są, niż wiedza, którą zdobyłem.“ France kocha barbarzyńcę, albowiem widział go w duszy Verlaine'a i Flauberta, zrozumiał jego smutek i mękę, przebaczył mu i pobłogosławił. I w uśmiechu, który posyła „mądrej ludzkości“ jest bolesna, ostatnia namiętność schyłkowca — zachwyty i jednocześnie omdlały nieco optymizm, niestety, zrodzony przez rozpaczliwą chęć samozachowania. Miłości uczy nas France, albowiem odczuł udręczone serce ziemi, i coś, co nas wszystkich łączy — smutek i ból.

„Nie masz prawa sądzić nas, o Boże!
Czyny nasze już nas osądziły“.

J. A.

S e r c e c z u w a .

Las wita ciszą. Spokój roztacza skrzydła, ogarnia myśl czarem wielkich, niedających się ująć widm. Górą płyną obłoki, a w duszy podnoszą się ławą wielkie roztesknione ptaki. Lecą do nieznannej, do przeczuwanej ojczyzny.

Tu i owdzie czerwona lub żółta czapka grzyba, albo kwiat jaki blady, na długiej smutnej łodydze barwi szaro-zielone podłoże, z którego pędzą w górę grube smoliste sosny, buki ponure i zamilkłe, graby, co zasłaniają słońce i sieją naokół zniszczenie.

A kiedy wichur ogarnie czuby drzew, zrywa się taki łopot, że serce drży i przypomina sobie chwile groźnych nawiedzeń. Czasem gałąź oderwie się i pada ciężko. Jej biała wilgotna rana lśni jak śnieg i pachnie.

Koło lasu rozłożyła się polana. Trawa bujnie ją porosła. Kwiaty w niewidzialnych zapadliskach tryskają barwnymi płomieniami. A kiedy słońce ma zejść, szczyty ziół czerwienią się, jak maczane w gorącej krwi.

Nad lasem krąży jastrząb. Wytacza się, kołując nad polaną. Płynie ciężko, a po trawie pelza jego cień. Śpiew ptaków milknie. Z przyczajonemi szponami przewierca srogiem okiem gąszcze.

Przepłynął. Jeszcze go widać, ale skowronki już się podnoszą i zaczynają śpiewać.

Drożyną między kwitnącemi czerwonoostami, idzie młodzieniec.

Głowa jego dźwiga troskę, jedną z tych ciemnych melancholji, kiedy noc spada na połyskujące w pieczarach duszy złoto.

Młodzieniec myśli o życiu.

Dręczy go pragnienie głębi.

Pocóż żyje, jeśli ślizga się tylko po powierzchni? Nie może, jak nurek, pograżyć się i wynieść na światło garść śmiejących się pereł.

Oto przed nim rozpościera się las z jednej strony, a z drugiej szeroki w mgłach ginący step.

To część wszechświata... Z poza drzwi widzi błysk tajemniczy. Lecz nie otworzą się one nigdy... Nie morze blasków, lecz ten błysk wąty i chwiejny, przez szparę! O upokorzenie! O dręczące poczucie ciemności! Światło jest tylko małą wysepką czarnych oceanów!

Tuła się w nim tęsknota i żali. Dla innych dość było tego błysku, aby rozpiąć żagle i wypłynąć na morza... na nieogarnione modre przestrzenie!

Stopy ich dotykały nowych lądów. Wdzieli gwiazdy, lejące od wieków jasność na szczyty dla innych zatulone w mroki. Słyszeli głosy rzeczy, które milczą... Czuli bicie wielkiego serca i pulsowanie krwi kosmosu.

Ach, spróbujmy uchwycić to majaczenie bez oblicza, co zawiera prawdę, lecz nim ją odda, już wali się w otchłań bez dna...

Mgła nieokreślona podnosi się w jego mózgu. Słaby błysk nadziei pęka i rozwiewa się...

...— O to znowu drogę moją osypały zwiędłe liście rozczarowania...

Słońce poczyna się zniżać. Jeszcze chwila dłuższa a zajdzie.

Cały zachód pławi się w złotej drgającej poświacie. Na rozżarzonem płynnym tle przesuwiają się obłoczki o jasnych brzegach.

Tak jasno i żywo tam, gdzie świeci jeszcze słońce, tak chłodno i szaro na wschodzie.

W zalewie słonecznym powstają ogromne cienie!

To oni... to ci wiecy...

—...O, szczęśliwi! Gdzieście spojrzeli, pierzchała przed wami pomroka i rozlewało się światło. Nosiliście słońce w duszy! Piórem, pędzlem, dźwiękami instrumentów budowaliście wielkie życie. Śpiewaliście piorunującą baśń o człowieku. Rozumieliście niebiosa, spojrzenie gwiazd i pełzanie robaka. Czytaliście jak w księdze otwartej, w jasnej duszy ducha i w czarnej czeluści nocy. Z równą litością przekraczaliście niski próg nędzarza i złote progi królewskie. Mieliście hojność równie szczerą dla serc niewinnych, jak dla obłąkanej duszy nierządnicy i zbrodniarza. Narodom nieśliście słowa, które dźwigały je z trumny i zgnilizny, samotnikom — balsam, ochłodę. Jak manna dobroczynna spadaliście na pustynie, gdzie obozowały zwierzęta, upajające się mięsem, winem i rozplodem. Przybijani do krzyżów, byliście do końca piękni i dobroczynni, jak słońce, które, gdy chmury staną między niebem a ziemią, aby ją zaćmić, na chmury rzuca płaszcz blasków...

Usiadł na kępie przydrożnej. Opuścił ręce. Czuł trwogę. Przeraził go ogrom zadania.

Czemże jestem? Niczem... Nikłym blaskiem na liściu, połyskiem fali, głosem, co napróżno chce odradzać się w echu...

Jestem równie biedny jak kwiat w parowie, co nie może odchylić sięgającej po niego ręki i jesienią zstąpić musi do grobu.

Z mojej istoty podnoszą się fale raz czyste i jasne, innym razem ciemne.

Gwałtowny dreszcz mną wstrząsa... Ciemna i dzika żądza niszczenia...

Mogę jutro znaleźć się twarzą w błocie. Zmazać i zaćmić szybę, przez którą patrzę na świat.

Z dobrym jestem dobry, ze szlachetnym — szlachetny... Zaczynam szaleć z tymi, co się upajają.. Boli mnie z tymi, którzy cierpią...

A czasem niby błyskawica warknie dreszcz, żeby to złamać wszystko i oderwać od siebie, co staje się mojem *ciałem*.

O, nieukojoną tęsknoto do treści! Do tego, żeby wyraz i treść były jedno.

Między wyrazem moim a treścią snują się ponure tłumy niezadowolenia.

Wiatr i ludzie wygrywają melodję na mnie. Ale nie jestem sobą, nie jestem *sam*.

Cóż dziwnego, że kiedy *ona* mówi ze mną, śmieje się i tak dziwnie mruży oczy, jakby patrzyła w mgłę.

Może jestem mgłą i pewnego dnia rozwięję się i zniknę?

* * *

Słońce zaszło.

Poszarzały las, polana i biegnąca w dal droga.

Na niebie ukazała się jedna gwiazda, zadrżała lekko, jak ptak gdy strzepnie skrzydłami, i zapaliła się.

Młodzieniec wstał.

Szedł z głową opuszczoną na piersi. Nogi jego podnosiły lekką kurzawę.

Nie myślał. W duszy jego była ciemność i ucieszenie.

Nim zaszedł, już niebiosa paliły się od gwiazd.

Majestatyczne głębokie i ciemne otchłanie, mżące krociami złotych kropel, co zastygły i nie spadają, śpiewały odwieczny hymn nocy.

Z westchnieniem wszedł pod namiot rozłożystych gałęzi topolowych, w aleję, która wiodła do ogrodu i dworu.

Z westchnieniem, choć nie patrzył w górę, czuł, że zakryły się nad nim i zagasiły światła nocy.

Jak we śnie odszukał furtkę, ukrytą w murze i wszedł do ogrodu. Obrócił się przytem raz jeszcze i spojrzeniem pożegnał roztocze śpiących pól.

Szedł teraz ogrodem. Oddychał zapachem niewidzialnych kwiatów. Z tęsknotą wsłuchiwał się w suchy strzykot świerszczów.

Wszedł w aleję bżów. Tu zapach był mocny, upajający. Serce młodzieńca drgnęło, jakby ocknęła się i zapaliła w nim gwiazda.

A kiedy mijał altanę, ujrzał postać bielejącą w mroku. Czekwała z palcem na ustach, jakby nakazując mu milczenie.

Stanął przy niej i czekał. Serce jej biło mocno, kiedy go wzięła za rękę...

— Myślałam o tobie... nie wiem czemu... Krążyłeś ciągle koło mnie... Widziałam, jak idziesz znużony, w daleką drogę... Upadłeś i podniosłeś się... Wołałeś do mnie...

Przysunął twarz swoją do jej, długim, badawczym pełnym niepokoju wzrokiem spojrzął w jej oczy.

Wydało mu się, że tonie w czystej błękitnej przezroczy coraz głębiej i gdzieś na dnie znajduje ukojenie.

— Dziękuję ci — wyszeptał — że w takiej chwili ujrzałem twe oczy... tak czyste. To znaczy że w dwóch ciałach jedną jesteśmy duszą. Odemnie poszedł blask mojej myśli i płacz mojej tęsknoty. Uderzył w szybę twego ducha i usłyszałaś. Nie będę już samotny, prawda?

Serce mu rosło, aby pomieścić czarowne uniesienie.

...Szczęśliwy jestem i wybrany, bo ciebie znalazłem na tym szerokim strasznym świecie...

Objął ją ramieniem i poszli w głąb śpiącego ogrodu...

A kiedy w ulewie kipiącej radości wracała mu przytomność, widział niepokój i zważenie jak oddalają się niby dwa widma i giną w sinych mgłach.

Leon Chomorański.



CHARLES G. D. ROBERTS.

Pojedynek wśród głębin.

Powierzchnia szerokiej zatoki bałwanila się od wichru, chociaż cisza była w powietrzu. Z otwartego morza klinem wdzierały się fale, szybkie, niebieskawe, lśniące srebrzyście. Dziwnie burzliwy był bóg kanału, podczas gdy mielizna lśniła w poziomych promieniach północnego słońca. Wzdłuż płaskiego nieskończonego brzegu, wśród spiętrzonych kawałów lodu i szumiących potoków szedł potężny biały niedźwiedź.

Mały jego obrotny łeb opuszczony był na dół, podczas gdy drobne dzikie ślepia błądziły wśród nagromadzonych lodów, szukając zdechłych ryb. Cielsko jego, lekkie w ruchach pomimo ciężaru, wiło się i kręciło gdy się poruszał. Zauważyłem, że był to jedyny twór żywy wśród nieskończonych obszarów tych bezmiernych i opuszczonych brzegów.

Biały niedźwiedź był starym sameem o niespokojnym i dzikiem usposobieniu. Po-

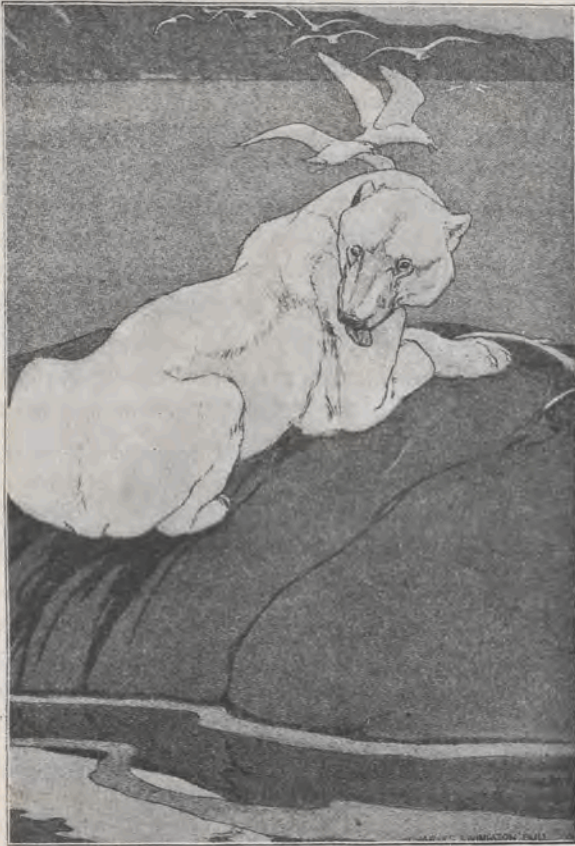
dobnie do wielu podeszłych swych towarzyszy nie był tak szczęśliwym, aby przespać długą podbiegunową zimę pod osłoną śniegiem okrytej skały. Przez wszystkie te miesiące ciemności, mających jutrzni i niewypowiedzianego zimna włożył się on przez zamary świat i zażartą wiodł walkę z głodem. Nędzny i osowiały oczekiwał nadejścia wiosny, przypatrując się lodom, które tajały.

Nagle słuchu jego dobiegł dźwięk dochodzący z morza. Wobec braku wiatru miało to pewne znaczenie. Uniósłszy do góry czarny swój pysk, obszedł spokojnie otaczające go opoki lodowe uważnie wsłuchując się w muzykę wód. Niepewność jego trwała krótko. To łosose wracały, zwiastuny wiosny.

Wielki biały cień stał przez chwilę skamieniały z radości. Widział zdala lekkie sylwetki ryb, rysujące się gdzieniegdzie na powierzchni głębi i usiłujące się jakby wyzwolić ze szpon nieznanego nieprzyjaciela. Owa ława ryb kierowała się do głównego kanału, toczącego się wśród dwóch nagich wysp skalistych oddalonych od siebie półmilową blisko przestrzenią. Najbliższa z wysp leżała o trzysta łokci od brzegu. Jak tylko niedźwiedź się upewnił, że łosose idą w tym kierunku popędził co tchu wzdłuż brzegu kępy lodowej. Poczem się zanurzył w wodzie, prując tonie czarnym swoim pyskiem i białym łbem, przyczem z nadzwyczajną szybkością odrzucał gęste i tłuste szumowiny. Wreszcie dotarłszy do wysepki, oddalonym był jeszcze od pierwszych łososi o jakie czterdzieści lub pięćdziesiąt kroków. Przedarł się przez skały i cicho osunawszy się do wody czekał na ukazującą się ławę błyszczącą, aby rzucić się na nią. Z niezbadanych powodów, które wiadome są jedynie przewodnikom łososi, lśniaca, bliska już prawie wysepki ława łososi zoczyła nagle, kierując się w przeciwną stronę kanału. Drobne, pożądlive ślepia niedźwiedzia zapaliły się dzioko na ten widok. Wyobrazil sobie, że owe nieskończone szeregi ryb przelękły się jego widoku. Było to jednakże tylko urojenie, owe miriady łososi, drgające życiem i siłą wiosny były zupełnie nieświadome jego obecności, jak gdyby był skałą lub bryłą lodową. Dla nich, nieprzyjaciel jakkolwiek groźny, był tylko przejściowym wypadkiem życiowym, niesłychana płodność ich rasy nie groziła im zagładą.

Niedźwiedź torował sobie drogę po przez

białą falę. Na końcu lśniącego szeregu dał nura, płynąc z nadzwyczajną łatwością. Szukał stosownej drogi. Rozwierając szpony swe i paszczę, pragnął wdrzeć się w gęste zastępy łososi. Celem jego było zabijać, zabijać, zabijać, gdy nadarzy się okazja, w nadziei, że będzie dużo zdechłych ryb wyrzucanych na brzeg, które zostaną do jego dyspozycji. Po kilku minutach owej dzikiej pracy, której rezultatem było, że woda zabarwiła się na czerwono, wy dostał się na powierzchnię aby odetchnąć. Przednie sze-



regi łososi lśniły jeszcze po obu stronach i wynurzały się z wody, pomimo uderzeń jego morderczych łap. Zgłodniały porwał wielkiego łososa, pogryzł oś tylną, aby ukrócić jego bezmierne męczarnie i płynąc wraz z ławą rybą zadawał swój apetyt.

Nagle w odległości dwunastu stóp mniej więcej od niego potężny łosoś podskoczył do góry, wyrzucony jak z procy. Przez chwilę wił się niby w konwulsjach wreszcie ciężko opadł na dno. Biały mieszkaniec podbiegunowych przestworów rozglądał się ciekawie.

Nigdy jeszcze nie napotkał on czegoś podobnego. Łosoś nie podskoczył z własnego popędu—to było widoczne. Trzymano go od spodu, trzymano mocno. Dla dzikich bestji każdy nowy, a nieznanym objaw jest nader

zajmującym, choć często napelnia je trwogą. Tym razem, niedźwiedź się nie przeraził, lecz prawdziwie zaciekawiony podążył ku miejscu, gdzie rozegrała się wiadoma scena.

Obecnie zastanowiło go coś bardziej dziwnego. Nieco w bok od miejsca gdzie tak niezwykle zachował się łosoś, wychylił się wielki ostrościęty gwóźdź żółtego rogu, masywny i skrzycony, poczem znikł. W zawojach rogu widniała krew. Widocznie był to tajemniczy, a zastraszający oręż.

Przepelniony ciekawością, która niebawem zamieniła się w gniew, niedźwiedź popłynął w tę stronę. Jakaś niewiara cechowała tę nagłą decyzję. Najsmutniejszym było to, iż jakiś obcy polował na jego terytorjum. Wkrótce gniew jego zamienił się we wściekłość. Ponieważ nie było można wejrzeć w zmaconą i zabarwioną toń, zanurzył się głęboko, aby dostać się pod łososa i pod krew i przekonać się, jakiego właściwie rodzaju był przeciwnik z którym miał do czynienia. Niezawodnie wyprze go stąd lub zabije. Łososi swoich z nikim dzielić nie myśli!

Tymczasem tuż obok spodnich szeregów łososiowej ławy, ogromna, bladokóra kreatura, podobna do ryby, wolniutko sunęła w toni. Kształtami przypominająca śrubę morską, z wielkim nabrzmiałym łbem i jeżącymi się potężnymi kłami należała do żarłocznej rodziny wielorybów. Jej masywne cielsko miało około czternastu stóp długości. Odrębność jej atoli polegała na tem, iż długi ciężki róg, czy też kieł z żółtej kości wysterczał z jej wierzchniej paszczęki na wysokość czterech mniej więcej stóp. Był to narwał, najbardziej osobliwy gatunek wieloryba. Od czasu do czasu złowróżbna ta istota pochylała się nad łososiami, przebijając jakąś potężniejszą sztukę kłem i zabijając inne bokami swego straszliwego oręża.

Czasami otwierała swą wielką paszczękę i wchłaniała ofiarę, niewydawała się jednak chciwą. Jej apetyt był zupełnie umiarkowany, zabijała jedynie z premedytacji, aby pożywienia starczyło na czas gdy łososie odpłyną. Gdy biały niedźwiedź zanurzył się pod wodę i zobaczył ową postać, polującą jak wydra, krew w nim zawrzała. Osunawszy się na dół, niby upiór uderzył niepodjęwającego nic narwala w środek grzbietu.

Jego potężne łapy przednie, uzbrojone w pazury ostre jak noże, wycięły dwie głębokie rany w skórze narwala i ciemna krew z niej wytrysła. Rany te jednakże nie były

zbyt bolesne dzięki temu, że gęsta powłoka tranu rozpostarta była pod skórą narwala. Pomimo bólu spowodowanego temi dwoma dotkliwymi pchęciami, narwal posunął się naprzód i zajadle machnąwszy ogonem rzucił się na swego napastnika.

Niedźwiedź, jakkolwiek porywczy w swojej zarozumiałości i wściekłości, nie był jednakże lekkomyślny i chociaż poczytywał narwala za gatunek olbrzymiego łososi, poniekąd lekcewał go z tego powodu, liczył się jednakże z niebezpieczeństwem z racji długiego, grożącego rogu. Po chwili rzucił się na swojego wroga, nie dając mu czasu na przygotowanie się do walki i uderzył go ponownie dotkliwie, nadwyrężając tym razem prawe skrzydło narwala. I czując, że po takim wysiłku nie potrafi powstrzymać swego oddechu, wysunął się na powierzchnię i chciwie wchłaniał powietrze do płuc.

Ta czynność zabrała mu zaledwie chwilę czasu. Uprzytomniając sobie jednakże niebezpieczeństwo zanurzył się znowu, aby ponownie atak. Tym razem jednak' wiedziony jakimś subtelnym przecuciem usunął się w bok. Poruszenie narwala chybiło. Jedy- nym rezultatem był podskok kilku łososi, które obity się o mordę bestji. Poczem róg przeszył szyję niedźwiedzia a czarna masa uderzyła go w piersi z siłą zapierającą mu od-

dech i broniącego się zajadle wyrzuciła na powierzchnię.

Ciosy te zadawane były na ślepo, jedno atoli starcie pozbawiło oka narwala. Gdy niedźwiedź wy dostał się po nad wodę, zatknął się i dysząc ciężko sunął w górę, usiłując odzyskać oddech. Miarkując się teraz dopiero jak dalece nieopatrznie postąpił, rozumiał, że każda chwila, spędzona na powierzchni, grozi mu śmiertelnem niebezpieczeństwem.

Zrazu jednak nie mógł wciągnąć oddechu, tak rozklekotane miał płuca. Podniósł więc chrapy rzucając tęskne spojrzenia na liczne szeregi wędrujących ryb i po przez białą wodę, muskał okiem nizki pusty brzeg lodowy. Jakże by pragnął być tam znowu!

Odzyskawszy jednakże oddech odzyskał i odwagę i ponownie go ogarnął szal walki.

Czerwona luna zapaliła się znowu w jego ślepiach i kręcąc się w kółko z rozmachem, sprawiającym, że woda spływała strumieniami z jego potężnych bark i obrzucała lśnjącymi płachtami ławę łososi, zanurzył się raz jeszcze, gotując się do boju.

Narwal, pozbawiony jednego oka, z łbem dotkliwie nadszarpanym ciosami przeciwnika, rzez chwilę był ogłuszony. Atoli i w nim nwa krew zawrzała. Nigdy jeszcze dotąd nie spotkał się z tak wyraźną opozycją. Potężny potfisz, ów niezaprzeczony pan oceanu, nigdy nie zwiedził tych zimnych, północnych wód, a wielkie fiszbinowce-wieloryby były dla niego igraszką. On wnet przeszywał i mordował bezbronne młode tego gatunku pod pletwami ich olbrzymich lecz bojaźliwych matek, przeszywał łososi, a niekiedy podobnie załatwiał się z wielorybem. Strasznie uzbrojony, rączy i potężny nigdy nie ustępował mieszkańcom błyszczących głębin.

Przez kilka chwil wzburzony, wyprowadzony ze spokoju piekąciami ranami, płynął wciąż naprzód pod rzedami łososi. Nagle, odzyskując przytomność, zatrząsł się z gniewu i rozejrzał się dokoła drugim nieuszkodzonym jeszcze ślepiem, poszukując niedźwiedzia. Początkowo nie był zdolny uprzytomnić sobie swojego widzenia, nagle jednak patrząc się w przestrzeń po przez srebrno sine szeregi rybie, ujrzał wielką białą postać unoszącą się opodal na powierzchni. Wtedy podskoczył w górę wśród wzburzonych fal przyływu, niby zgłodniały pstrąg, który jednym susem podnosił się z głębi aby schwycić majowego żuka, swawolącego nad to-



nią. Gdy niedźwiedź z opuszczoną głową i rozstawionymi łapami zanurzył się w wodzie, poczuł nader bolesne pchnięcie w lewy bok. Zdało mu się, że to skała urwała się z dna zatoki i uderzeniem swoim wyrzuciła go z wody. Narwał, wyprowadzony z równowagi brakiem oka znówu natarł fałszywie. Koniec jego rogu uderzył niedźwiedzia w taki sposób, że nie dotarł do żadnego organu, ale wsunawszy się mniej więcej na cal pod skórę, ugrzązł w najwyższym zakręcie dwóch żeber górnych i wyszedł pod ramionami. Słowem róg narwala, rzucony potężną siłą, utkwiał w ciele niedźwiedzia. Silny lecz szalony z bólu zwierzę w straszliwym uścisku trzymał łeb nieprzyjaciela. Ciął, darł, płatał, czterema łapami naprzemiany, miażdżąc niemal głowę narwala. Ten ostatni walczył wściekle, aby się wyswobodzić, lecz napróżno. Bezsilny potoczył się w głąb, a niedźwiedź wciąż jeszcze znęcał się nad nim, wreszcie na twardym już gruncie w łuk zwinął potężne swe cielsko, poczem wyciągnął się jak długi z mocą której ucieść nie mogło. Róg wyszedł z rany, a uwolniony niedźwiedź odskoczył w bok z taką siłą, iż posuwające się na fali łososi zawirowały w zamieszaniu, a woda na powierzchni zagotowała się z szumem. Ślepy, potłuczony i ociekający

krwią, narwał, poruszył się kilkakrotnie i zaciął.

Po przez ściśle szeregi łososi, niedźwiedź dał susa na powierzchni i wyciągnawszy łeb z wody zakasłał ochryple. Jeszcze kilka chwil kołysał się na nurtach, chociaż wchłaniając powietrze, poczem zaczął płynąć dokola cały wrzący walką, lecz niezdolny jeszcze panować nad płucami. Wreszcie poczuł się dość silnym aby podjąć bój na nowo. I zanurzwszy się oczekiwał nieuniknionego jak mu się zdawało ciosu, wglądając po przez lśnienia łososiowej ciżby na wroga, leżącego bez ruchu na dnie otchłani wodnej. Wreszcie nabrawszy świadomości, że nie ma się czego obawiać tej spokojnej bestji, drzemającej łagodnie w nurtach, zwycięzca wypłynął na wierzch.

Teraz uniosł swój łeb wysoko nad wodę, badając pusty, błądy świat dokola. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, żadnego nie można było dostrzedz rywala. Osłabiony i zmęczony, uśmiercił dwa czy trzy łososi, ot tak jedynie dla przekonania się, że żyje. Poczem z pokaźną zdobyczą w paszczy, zwolna po przez tonie skierował się do skały nadbrzeżnej, a wyszedłszy na ląd ułożył się wygodnie i z tryumfem oblizywał swe rany.



Gniew Seismosu.

Wybitny publicysta rosyjski T. Ardow, był podczas ostatniego, straszliwego trzęsienia ziemi w Turcji na wyspie Chalki i opisał z niezmierną plastyką swoje wrażenia. Z obszernych tych wspomnień wyjmujemy ciekawsze wyjątki.

T. Ardow zaznacza przede wszystkim bezradność człowieka wobec potężnego żywiołu. Zwierzęta tylko potrafią przeżyć nieszczęście i uciec. Człowiek wraz ze swoją kulturą i budynkami, postawionymi na kruchej korze ziemskiej, ginie przywalony wynikami własnej pracy, z której tak jest dumny.

W dzień, po którym w nocy nastąpiła katastrofa, w jednej z wsi pod Konstantynopolem 50 byków zachowywało się w uderzająco niespokojny sposób. Wieczorem zwierzęta nie dały się przywiązać do żłobu i z rykiem rzucały się na poganiaczy. Jakos je jednak uczepiono.

Ale w nocy byki zaczęły ryć tak okropnie i tak się rzucały na łańcuchach, że nikt nie mógł we wsi zasnąć. I ściśle na dziesięć minut przed uderzeniem podziemnym, wszystkie byki wydarły ze ścian żelazne haki, na których trzymały się ich łańcuchy i pędem wybiegły w pole. Tam uspokoiły się i wróciwszy przed oborę patrzyły ze strachem na swoje dawne pomieszczenie. Obora wkrótce runęła.

Wybiegały ze stajni konie, stada kóz uciekały z pod skał na otwarte doliny.

Psy przez ostatnie noce przed trzęsieniem ziemi, na wyspie Chalki, gdzie był wówczas T. Ardow, wyły tak jakoś dziwnie, chorobliwie, czy histerycznie, że wszyscy, słysząc to wycie, czuli, że im się zaciskają serca i ogarnia ich niepokój. Psy odczuwały w ciemnościach nocy zbliżanie się czegoś okropnego.

Tylko „króle stworzenia“, ludzie — spali spokojnie, ślepi

i głusi na zapowiedzi nieszczęścia. Człowiek stracił łączność z przyrodą.

T. Ardow przed zaśnięciem czytał właśnie „Ostatnie dni Pompei“... uczył trzęsienie ziemi w śnie. Śniło mu się, że przechodził przez jakieś galerje, kolumnady, portyki — może to były wrażenia z książki przeczytanej. Galerje były świetliste z białego marmuru, skąpane w blaskach słońca. „I nagle ktoś wziął mnie za rękę i wprowadził do podziemnego, czarnego korytarza, bez promienia światła, gdzie trzeba było się pochylać, żeby przejść. Zrobiło mi się straszno. Podłoga podemną zaczęła się chwiać, usłyszałem huk, runięcie — i ktoś krzyknął: Wracajmy! Wiedziałem, że wprost naprzeciw nas w tym wązkim korytarzu pędzi ciężki wóz, naładowany kamieniami i żelaznymi płytami i czułem, że go wstrzymać niepodobna. Obudziłem się cały w potach, ale łoskot nie ustawał.



Gallpolis po trzęsieniu ziemi.

Lóżko moje kołysało się i podskakiwało, wszystkie drzewa w pokoju trzęsły się i jakby targaly je czyjeś złośliwe, straszliwie mocne ręce—jakby banda rozbójników napadła na nasz dom. Przytuliłem się do ściany i uczulem wyraźnie, że ona się chwieje. Dźwięczały szyby, roztwierały się i zamykały z trzaskiem zewnętrzne żaluzje, stół podskakiwał na środku pokoju, jak na seansie spirytystycznym. Świeca podskoczyła nagle i upadła, a ciemności, uczucie drżenia i łoskot wydawały się je-

szcze straszniejsze. Na sekundę huk ustąpił i wówczas słychać było tylko, jak obijało się o brzeg morze, falujące *bez wiatru*.

Potem wróciły łoskoty i wstrząśnienia coraz silniejsze—wapno, tynk opadały ze ścian.

Pamiętam, że obudziwszy się, nie krzyknąłem, ale jęknąłem jakoś.

— Co to jest, co to jest?

Uzucie okrucieństwa tej siły, które nami potrząsała, było okropne, to było tak, jakby tutaj, w pokoju, jechał ten ciężki wóz

z żelazem i odłamami kamieni. To były pierwsze wrażenia T. Ardowa.

Na drugi dzień, gdy już wiadano, że 22 miasta leżą w gruzach nad morzem Marmara i w Dardanellach, T. Ardow ujrzał zjawisko nie mniej straszne. Wstrząśnienia powtórzyły się, a morze pokryła dziwna biała mgła. Ta mgła cicho oddzielała się od powierzchni wody, skupiała się w obłoki, które wisiały nisko nad wodą, ponure, groźne, w jasny, słoneczny dzień. Co to było?



Zburzone Myriophito.

Morze parowało!.. Jakby tam, w głębinach, ogień podziemny rozpalil dno i morze zakipiało... I tak było rzeczywiście...

W Dardanellach wybuchały gorące gejzery, miasta całe płonęły, ze starożytnego Gallipolisu ocalało kilka domów, Chora legło w gruzach, Czaneek zburzone, Myriophito dostało się pomiędzy dwie góry, które ściśnęły miasto w śmiercionośnych objęciach, zawalając je skałami, tysiące trupów zasało nieszczęśliwą Turcję, której tego tylko nieszczęścia brakowało w podrodzi innych...



Ruiny Chora.



Zburzony konsulat austrijski w Czaneuku.

Proces młodzieży chorwackiej.

System ucisku madziarskiego łączy w sobie mongolskie okrucieństwo z biurokrytym niemcekiem. Słowianie węgierscy są ofiarami rządów zarówno dzikich, jak i bezmyślnych. Każde wybory to pole do jawnego pogwałcenia konstytucji wśród krwawych zaburzeń. Każde usiłowanie szlachetniejszych węgry do przeprowadzenia reformy wyborczej spotyka się z wściekłą opozycją, będącą u steru władzy szlachty węgierskiej i nacjonalizmu madziarskiego, który drży o swoje przywileje. Każdy przejaw życia słowian tłumi zajadła nienawiść hakatyzmu madziarów, którzy wiedzą, że stanowią mniejszość we własnym państwie.

Kiedy Tisza kazał policji wywłóczyć z parlamentu budapeszteńskiego lewicę węgierską, czynił to nie tylko dla przeprowadzenia reformy wojskowej, ale dla pokazania warstwom robot-

niczym — przeważnie słowiańskim, — że węgry są despotycznymi panami od Karpat do Dunaju i Cisy. Lewica bowiem upominała się o reformę wy-

borczą, o dopuszczenie szerokich mas robotników, szerokich mas włościan-słowian do udziału w rządach.

W imię madziaryzacji, słowacy nie mogą wydawać dzienników słowackich, ani kształcić dzieci w rodzinnym języku. Jest to jawne bezprawie, codzienne gwałcenie konstytucji. Jeżeli chorwaci protestują w dziennikach i sejmie przeciw gwałtom banów - wielkorządców węgierskich, to madziarowie zamykają dzienniki i rozpędzają sejm. Tak więc na północy Węgier, czy na południu, zarówno względem ludów budzących się do samodzielnej kultury, jak słowacy, czy względem narodu tak wysoko kulturalnego, jak chorwaci, nacjonalizm węgierski zachowuje się jednakowo: ho-



Młodzież, oskarżona w procesie Jukicza: 1. Halogaza 2. Dolenc niewinnieni; 3. Jukicz; 4. Nierancicz, uniew.; 5. Horwat; 6. Badalicz, uniew.; 7. Cvilcz; 8. Chorwatlin; 9. Neudhardt; 10. Bublicz; 11. Cezarec; 12. Szarfinicz.

duje przeciw sobie wzrastającą z dnia na dzień nienawiść.

Nie dość na tem. Biurokracyzm madziarsko-austrjacki, — resztki systemu Metternicha, — organizuje prowokacyjne sprawy, które kompromitują władze monarchji Habsburgów przed całym światem. Słynny proces zagrzebski o propagandę wielkoserbską, oparty na sfałszowanych dokumentach, jest jaskrawą ilustracją tych stosunków.

Zamach na bana Chorwacji, Cuvaja, jest bezpośrednim skutkiem tych krzyczących nadużyć. Proces twórcy zamachu, Jukica, dał powód administracji madziarskiej do wykazania całego swego okrucieństwa.

W procesie tym skazano na ciężkie kilkoletnie więzienie — dzieci.

Główny oskarżony, Jukicz, liczący lat 25, otrzymał wyrok śmierci przez powieszenie. Jego towarzysze: 15-letni Cwicz, 16-letni chłopcy Chorwatin i Bublik, 18-letni Cezarec i Neuhardt, skazani zostali na 5 lat ciężkiego więzienia, a 16-letni Horwat, który dał Jukicowi rewolwer — na lat 6 tego samego rodzaju kary.

Są to wyroki niesłychane w państwie konstytucyjnym, tem-

bardziej, że na sądzie wyjaśniono, iż chłopcy ci nie tylko nie pobudzali Jukicza do wykonania rozpaczliwego czynu zemsty na Cuvaju, ale przeciwnie, odводzili go wszelkimi siłami od tego zamiaru.

Jeden z nich nawet zastawił jakiś przedmiot, żeby wynaleźć dla Jukicza pieniądze — nie po to, aby Jukicz wykonał zamach, ale żeby wyjechał do domu. Nie ich winą było, że Jukicz wrócił potem do Zagrzebia i pomimo wszystko strzelił do Cuvaja. Co zaś do rewolweru, to Jukicz odebrał go Horwatowi prawie gwałtem.

Cuvaj, jak wiadomo wyszedł z zamachu cało.

Nowy szpital w Warszawie.

Mało które z miast większych jest tak upośledzone pod względem szpitalnictwa, jak Warszawa. Istniejące u nas szpitale od dawna już nie mogą wystarczyć na potrzeby prawie miljonowej ludności miasta.

Wybudowanie przed laty kilkunastu nowego Szpitala Dzieciątka Jezus na miejsce starego, zburzonego przy pl. Wareckim, poprawiło na razie cokolwiek sprawę, nie mogło jej jednak

rozwiązać w zupełności, szczególnie wobec nader szybkiego wzrostu zaludnienia Warszawy. Sprawa szpitalnictwa stoi u nas nadal otwartą i nader palącą.

Dziś przychodzi nam zanotować fakt nader pocieszający, posuwający sprawę szpitalnictwa u nas znów o krok naprzód. Panna Zofja Szlenkierówna, córka p. Marji i niedawno zmarłego, znanego przemysłowca ś.p. Karola — małż. Szlenkierów, postanowiła pomóc w tym względzie rodzinnemu miastu i zbudowała własnym kosztem szpital dziecięcy na rogu ul. Leszno i Nowo-Żytniej, który wraz z kompletnem urządzeniem ofiarowała miastu,

Właśnie w tych dniach na posiedzeniu wydziału dobroczynnego Magistratu był rozważany i przyjęty projekt darowizny na rzecz miasta szpitala dziecięcego imienia Marji i Karola małż. Szlenkierów.

Ten hojny dar, bo kosztem półmiljona rubli uczyniony, jest rzadkim wypadkiem w dziejach naszego miasta i świadczy o wielkiem poczuciu obowiązków obywatelskich i miłości bliźniego — ofiarodawczyni.

Szpital liczący 100 łóżek, utrzymywany będzie na koszt mias-



Szpital dziecięcy im. Marji i Karola Szlenkierów.

fol. W. Orłowskiego



Tomasz Wolski.
Dyrekcji Szczeg. Tow. Kred. Ziemskiego
w Suwałkach.



Dr. Henryk Chrzanowski.
Dyrekcji Szczeg. Tow. Kred. Ziemskiego
w Kaliszu.



Antoni Kuberski.
Dyrekcji Szczeg. Tow. Kred. Ziemskiego
w Łomży.

ta na zasadach ogólnych. We-
wnętrzny zarząd sprawować bę-
dzie specjalny komitet pod prze-
wodnictwem zacnej ofiarodaw-
czyni—jako dożywotniej kura-
torki szpitala.



TEATR NOWY.

Najznakomitsza artystka ko-
medjowa naszej farsy p. Hono-
ra Leszczyńska, święciła kolo-
salny sukces w wiedeńskiej
krotochwili, wystawionej przez
p. Śliwińskiego w teatrze No-
wym, jako główna bohaterka
„Lory“. Dla tej jednej postaci
krotochwila została napisana.
Schöntan tę jedną postać wy-
malował olejną farbą ołowiane-
go sentymentalizmu niemieckie-
go i piwną farbą ciężkiego jak
katzenjamer dowcipu. Pani Le-
szczyńska potęgą swego talentu
uczyniła się śmieszna i serdecz-
ną świszczypałą kobiecą, zaku-
lisową duszą teatru, kobieciną
zacną, naiwną a butną, nie
tylko zbyła się niemieckiego
ciężaru, ale stała się istotą po-
rywającą.

Krotochwili streszczać nie
warto; jest zanadto bląhą. Ale
należy zwrócić uwagę czytelnika
na wyśmienitą grę p. Le-

szczyńskiej, która zbiera lwią
część hucznych oklasków za-
wsze pełnej sali teatru Nowego.

Obok pani Leszczyńskiej wy-
sococe zajmuje niezwykle prostą
a kunsztowną grą p. Gasiński,
tudzież p. Jerzy Leszczyński
(syn p. Honory) jako wesóły
porucznik austrijski.

W epizodycznej rólce rozśmie-
sza nieporównanym swoim ko-
mizmem p. Fertner, zaś panie
Renard, Dębnicka i Pawłowska
tworzą drugoplanowe miłe tło
kobiece farsy.

P. Marcelli Trapszo „Lorę“
wyreżyserował bez zarzutu.

TEATR MAŁY.

Dwa są obecnie teatry Małe
w Warszawie: jeden w Filhar-
monji, drugi przy ul. Bielań-
skiej—obydwa pod dyrekcją p.
Kazimierza Zalewskiego. Teatr
Mały przy ul. Bielańskiej, dyr.
Zalewski zamierzał otworzyć
sztuką Wiktoryna Sardou p. t.
„Madam Sans-Gêne“, ale nie
zezwoiliła na to odpowiednia
władza. Więc dyr. Zalewski
wznowił naprędce jedną z naj-
piękniejszych sztuk ubiegłego
sezonu teatralnego, trzyaktowy
dramat Swena Lange, duńczyka,
p. t. „Samson i Dalila“. Warto
widzieć p. Jaracza w roli Sam-
sona (poety, zdradzonego przez
ukochaną żonę). Dobry jest
również p. Szarski, jako godny
filister.

Teatr Mały w Filharmonji
rozpoczął jesienny sezon Fre-
drowskiemi „Ślubami panień-
skimi“—bez szczególnego po-
wodzenia.

Artysci grający „na dział“
w teatrze Małym w Filharmo-
nji, zakończyli letni sezon (przed
wznowieniem „Ślubów papień-
skich“ przez dyr. Zaleskiego)
„Pieśnią“ Wyspiańskiego i „Prze-
graną“ Wł. St. Reymonta. I je-
dna i druga rzecz padła. Pierw-
sza wskutek cenzuralnego ołówka
i marnej interpretacji wydała się
czemś zgoła nieznaną, czemś
czego nie napisał Wyspiański;
druga uderzała, jak pałką w łeb,
trywialnością. Mąż, schwyta-
wszy żonę na zdradzie, pastwi
się nad nią do tego stopnia, że
wywołuje ku sobie jej odrazę.
Ona odchodzi, unosząc w sobie
pogardę dla męża i dla kochan-
ka—i to jest morałek sztuki.
P. Popławski w roli męża, ro-
bił co mógł, aby mąż nie wy-
glądał zbyt wstrętnie i ordy-
narnie, ale wobec „kategorycz-
nego imperatywu“ autora był
bezsilny.

W. GOLIŃSKA

WARSZAWA, PLAC TEATRALNY.

== STAŁY WYBÓR ==
WYKWINTNYCH NOWOŚCI.



CZESŁAW JANOWSKI,

b. długoletni dyr. Teatru łódzkiego, wybitny artysta i reżyser, został powołany przez lubelskie Tow. przyjaciół sceny na kierownika tamtejszego teatru, Dyrektor Janowski rozpoczyna sezon w końcu b. m., zorganizowawszy pierwszorzędną zespół artystyczny.

Powódź w Anglii.

W Anglii ludzie od miesiąca już nie oglądali słońca. Bezużyteczne ulewy spowodowały po-

wódź, jakiej starzy ludzie nie pamiętają.

W Norwich 8000 osób niema lachu nad głową. Woda na niektórych ulicach dochodzi do 13 stóp wysokości. W mieście panują ciemności, bo gaz i elektryczność zarówno nie funkcjonuje.

Pomiędzy Londynem a Norwich woda zerwała 80 mostów. Mnóstwo osad jest odciętych od świata, wskutek czego cierpi niedostatek 20.000 ludzi, którym niepodobna dowieźć żywności.

Miasto Peterboreugh jest zupełnie otoczone wodą, a częściowo zalane.

W niektórych miejscowościach wskutek straszliwej ulewy woda tak szybko zalewała ulice, że wiele osób z trudnością zdołało uciec przed nadciągającymi falami.

Niektóre pociągi musiano pozostawić na szynach, pasażerowie zaś schronili się na pagórki niedaleko linii kolejowej.

Kolej Great-Garden musiała wstrzymać ruch. Połączenia te-

legraficzne i telefoniczne w wielu miejscach poprzerywane.

Trupy zwierząt domowych, wołów, owiec, kur i psów pływają po falach obok sprzętów domowych wszelkiego rodzaju.

Takie wiadomości dochodzą nie tylko z Norwich, ale też Leicesteru, Stamford, Northamptonu, Nottinghamu i wielu innych miast.

Wskutek powodzi manewry jesienne armji lądowej nie dojdą do skutku. Obóz pułku, stojącego pod Londynem, jak to widzimy na rycinie, fale zalały do połowy namiotów.

SZTUĆCE NA BIAŁYM, SREBRZYSTYM METALU,

ORAZ WIELKI WYBÓR

STYLOWYCH PODARKÓW

W PLATERZE I BRONZIE POLECAJĄ

BRACIA HENNEBERG

TRĘBACKA 1 (RÓG KRAK. PRZEDM.).



Powódź w Anglii. U góry farmy zalane w okolicach Norwich. U dołu zalany obóz angielski na polu manewrów.

Nieubłaganie rozwijają się konsekwencje bałkańskiego zamętu. Akcja hr. Berchtolda, wyglądająca na projekt pokojowej interwencji całej Europy, staje się groźbą coraz wyraźniejszą, że będzie tego pokoju grobem. Hr. Berchtold się śpieszy. Zmusza niejako mocarstwa do opowiedzenia się za Austrią lub przeciw niej. W zasadzie mocarstwa zgadzają się na rozmowę z kierownikiem zewnętrznych spraw monarchji Habsburgów. Ale skoro się ta rozmowa zacznie, wtedy dopiero wystąpią na jaw antagonizmy, lub wyłoni się sprawa nacisku na Turcję, która postanowiła wszelką interwencję odrzucić, uważając ją za mieszanie się do jej spraw wewnętrznych.

Już teraz prasa, wyprzedzając dyplomację, lub przez rządy inspirowana, prowadzi dysputy, dające wiele do myślenia. „Frankfurter Zeitung“ np., oświadczając się za autonomją Albanji, doradza ostanizację Macedonji, uważając, że niepodobna będzie w tym kraju oddzielić części, ściśle odpowiadających granicom zaludnienia przez Bułgarów, Greków i Albańczyków. „Nowoje Wremia“, odpowiadając postępowemu dziennikowi niemieckiemu, zarzuca mu... wsteczne poglądy i w obcym państwie chciałoby widzieć szeroko uwzględnioną samodzielność poszczególnych narodów. Wytyka „Frankfurter Zeitung“ nieznaną geografji, dowodzi, że Macedonję można prawie ściśle podzielić na okręgi narodowe, którym można nadać autonomję, stwierdza nawet, że to wzmożni państwo tureckie, bo przywiąże ku niemu narody dotychczas mu wrogie — wreszcie kończy wnioskiem, że tylko nienawiść niemiecka do Słowian i do Rosji mogła dziennikowi niemieckiemu podyktować takie poglądy.

Na zachodnim froncie Europy sprawy stają nie mniej niepokojące. Tarcia pomiędzy Francją a Niemcami rozpoczynają się na nowo. Chodzi znów o Ma-

rokko, którego „jednolitości“ bronią dyplomaci z Berlina wobec toczących się rokowań francusko-hispańskich, stwarzających jego podział. Tarcia te zapewne zładownieją po zwycięstwie pułkownika Mangina nad popieranym przez Niemcy i Hiszpanję pretendentem do tronu marokańskiego, El Hibą. Pretendent miał z Francji przyciągnąć do wzburzonej Afryki północnej znaczne siły wojenne. Okazało się jednak że pobić go można bez nowych posiłków z Francji macierzystej, która pozostaje wobec Niemiec równie silną jak dawniej... Intrygi niemieckie w ostatnich latach dziwnie się nie udają.

W dalekiej Japonji rozpoczyna rządy nowy Mikado, Joszihito. Baczna uwagę kieruje Japonja na Chiny. Szukała z Rosją przymierza, aby zapewnić sobie późniejsze zdobycze. Zachodzi pytanie: czy zwiąże się wobec niepowodzenia misji Katsury w Petersburgu — z Niemcami, które wysłały do Tokio ks. Henryka pruskiego? Byłby to zwrot dla polityki rosyjskiej niebezpieczny w wysokim stopniu. Rosja musiałaby szukać zgody z Ameryką, z którą traktat w styczniu r. 1813, jak wiadomo, wymiera.



Rysunek na pocztówce, która się ukazała niedawno w Szwajcarii z powodu zapowiedzianego przyjazdu Wilhelma II. Pod rysunkiem podpis: Cesarz Wilhelm pyta:

- Wielu jest takich strzelców jak ty?
- Sto tysięcy.
- A jeżeli wejdzie tutaj dwieście tysięcy prusaków?
- To każdy z nas strzeli 2 razy.



Dziwolak rzeźby niemieckiej. „Dzielo“ jednego z członków secesji berlińskiej. Jest to karykatura stylowości.

Ś. p. Michał Malinowski.

W końcu ubiegłego miesiąca zmarł w majątku swoim Zawa-



rys. Z. Badowski.

Ś. p. Michał Malinowski.

dy w ziemi Siedleckiej ś. p. Michał Malinowski, przeżywszy lat 75. Zmarły był synem Ignacego b. pułkownika b. wojsk polskich; w młodych latach osiadł na roli i całe swe życie spędził na niej, biorąc czynny udział w życiu obywatelskim. Zacnością charakteru, uczynnością i zaletami towarzyskimi ś. p. Michał Malinowski zjednał sobie powszechny szacunek i sympatję wśród ziemianstwa naszego.

Zmarły był ojcem znanych w naszym mieście: lekarza, dr. Feliksa oraz Marjana, właściciela apteki.

B A N D Y C I.



Józef Przybylski.



Leon Duszyński.



Winc. Jerzmanowski.

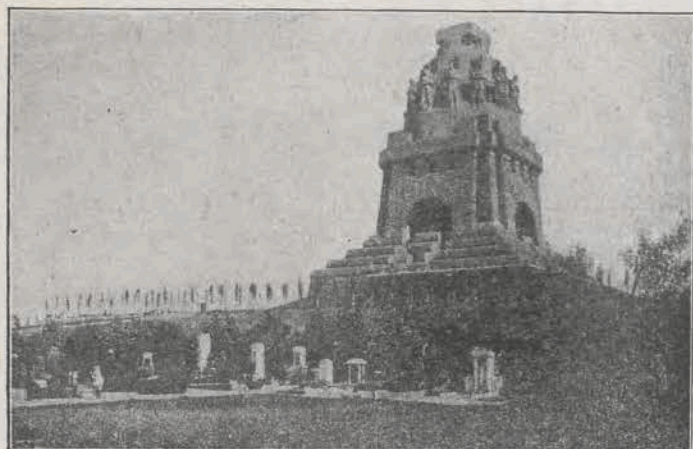


Stan. Matuszyński.

Pamiętny napad na restaurację przy ul. Senatorskiej № 4, ofiarą którego padli: ś. p. Ludwik Granzow i Jan Knippel, odbił się głośnie echem wśród szerokich mas ludności warszawskiej, powodującą uzasadnion obawę przed grasującymi swobodnie w śródmieściu bandytami. Dla uspokojenia opinii publicznej, policja warszawska przedsięwzięła energiczne kroki w celu odszukania sprawców napadu i usiłowania te uwięzione zostały zupełnem powodzeniem, gdyż w ciągu paru dni wszyscy uczestnicy napadu w liczbie czterech znaleźli się w rękach policji.

Są to młodzieńcy w wieku od 18 do 22 lat, a wyróżniają się nawet dość przyjemną powierzchownością i inteligentnym wyrazem twarzy. Dwaj aresztowani bandyci, Duszyński i Matuszyński byli już na oku warszawskiej „ochrony“, jako podejrzani o należenie do partji rewolucjonistów mścicieli; pozostali dwaj: Jerzmanowski i Przybylski robią natomiast wrażenie ofiar, wciągniętych do tej bandy, organizatorem której, według przypuszczeń policji, był Duszyński.

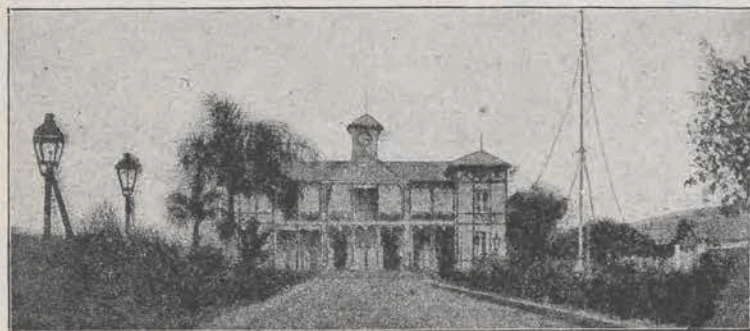
Powyżej podajemy podobizny aresztowanych bandytów.



Pomnik bitwy narodów z r. 1813 w Lipsku.



Teresa Lebriala,
pierwsza adwokatka we Włoszech.



Pałac prezydenta rzeczp. Haiti zburzony dynamitem.



Prezydent rzeczp. Haiti, Lecomte, który zginął w zamachu dynamitowym.

Z TYGODŃ

Z Prawodawstwa. W ministerjum handlu opracowano projekt nowego prawa o Towarzystwach akcyjnych i izbach handlowo-przemysłowych, który ma być wniesiony pod obrady IV Dumy.

Elekci. Zatwierdzeni zostali przez władzę: p. Bolesław Rotwand w godności świeckiego członka Konsystorza ewang.-reformowanego, a p. Edward Bretsch w godności sekretarza tegoż konsystorza.

Ze szkół. Ministerjum oświaty zabroniło gimnazjum „im. Mikołaja Reja“ używać nadal powyższego tytułu.

— W Rawie (gb. piotrkowska) z początkiem nadchodzącego roku

szkolnego, otwartą zostanie 7-o klasowa Szkoła handlowa. Na początek czynne będą dwie klasy, w miarę napływu uczniów będą otwierane wyższe klasy.

— Na Uniwersytet Warszawski zapisało się dotąd zaledwie 112 kandydatów.

— Prof. Ludwik Urstein otwiera w końcu r. b. szkołę muzyczną, w której mają wykładać oprócz założyciela: p.p. Jadwiga Kochańska i Zofja Wieczorkówna oraz p. Roman Chojnacki, redaktor „Przełądu Muzycznego“.

— W dniu 5 b. m. rozpoczęły się wykłady na Kursach oddziału zawodowego wykształcenia słusarzy przy Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej.

Zjazd. W dniach od 11—15 b. m. odbędzie się w Krakowie VI Zjazd Techników polskich, w którym przyjmie udział gremjalna wyćieczka Warszawskiego Stowarzyszenia techników.

Narada. W Ciechocinku z okazji pobytu prezesa sekcji balneologicznej Warsz. Tow. Hygien. D-ra J. Jaworskiego odbyła się narada specjalna w sprawach dotyczących się tego zdrojowiska.

Z wyborów. W sprawie Wyborów do IV Dumy ukazał się w dziennikach warszawskich bardzo znamienity list D-ra Henryka Nusbauma, wymienianego przez pewne koła prawyborców jako przyszłego posła z m. Warszawy, — w liście tym zrzeka się Dr. Nusbaum kategorycznie kandydatury.

Kongres. Na mającym się wkrótce odbyć międzynarodowym kongresie pocztowym w Madrycie ma być rozważana kwestja zniesienia taryfy pocztowej. Obecna opłata za list 25 cent. = 10 kop., ma być zniesiona do 10 cent. = 4 kop.

Wystawy. Dn. 24 Sierpnia otwarto trzydniową Wystawę rolniczo-przemysłową w Staszowie. Zjazd ziemian i włościan był na-

Biuro i przedsiębiorstwo meljoracji rolnych Inżyniera T. Skoraczewskiego

Warszawa, ul. Mokotowska 59, tel. 252-86. Filja Śrem, W. Ks. Poznańskie.

1882 1896

„KRYSZTAŁ“

NAFTA NAJWYŻSZEGO GATUNKU
w BLASZKACH

W BŁASZKACH

TOWARZYSTWA B^o NOBEL. WARSZAWA, NIECAŁA 4.

— TELEFONY 223-20, 223-40

MEBLE

F. GRMELA

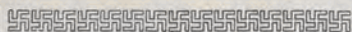
WARSZAWA, Nowogrodzka 29.
Telefony 218-40 i 266-09.

Dr. L. Płużański

Lek. szpit. św. Łazarza. Chor. skór. i wener. (stos. 606).

Nowy - Świat 37, tel. 95-65.

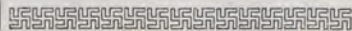
Od 1—3 i od 6—8 po poł.



LEKARZ DENTYSTA

Regina Wajnberg.

Nowy Świat 44, — telef. 140-84.



Popierajcie Przemysł Krajowy!

Kupujcie tylko najlepszą
Krajową pastę do obuwia

CHROMOLIN HEGNERA

Fabryka Ordynacka 9

SPROBUJECIE!

Znakomitą pastę do obuwia

LUNA

a nie kupicie innej.

!!ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE!!

znane ze swej dobroci

PERFUMY, WODĘ KWIATOWĄ i MYDŁA

„HANA-KO“

T-wa S. I. CZEPELEWIECKI i S-wie
MOSKWA

BULJON



Najlepszy wyrób krajowy. Talerz rosółu 3 kop. Spróbujcie porównajcie.

Warszawska fabryka konserw J. Werner, Cyrański S^{ka}

SOLEC № 39a. TELEFON 15-49.

Żądać we wszystkich handlach, popierających przemysł polski.

Kufry, Walizki, Torby, Nessesery, Galanterja skórzana



E. Unierzyski

Warszawa, Chmielna 3. Telefon 198-24.



„POMALIN“
najlepsza pasta do obuwia
STANISŁAWA FISZERA

Marszałkowska 63.

Żądać wszędzie.

der liczny. Wystawa przedstawia-
ła się imponująco, ściągając przez
cały czas trwania tłumy zwiedzają-
cych, pomimo nieustannej praw-
wie śloty.

— W Mińsku mazowieckim od-
była się w dn. 28 Sierp. Wystawa
żywego inwentarza cbeślana bar-
dzo licznie, zjazd był liczny, ruch
handlowy spory.

Z awiatyki. Francuski lotnik
wojskowy Chaudan podczas lotu
spadł w Douai i wraz z aeropla-
nem spalił się żywcem.

— W Kolonji przy opuszczeniu
hangaru przez balon wojskowy
„Zeppelin II” wiatr poderwał ba-
lon tak gwałtownie, że żołnierze,
przytrzymujący liny, zmuszeni by-
li je wypuścić z rąk; balon wzbił
się w górę, uderzając w komin fa-
bryczny, przewrócił go i sam bar-
dzo uszkodzony opadł na ziemię.

— Lotnik Brindejone zamierzał
dokonać lotu na dystansie Paryż—
Warszawa, z powodu jednak zep-
sucia się maszyny musiał przer-
wać swą podróż, a w rezultacie
zaniechał jej całkowicie.

Varia. Na pamiątkę stulecia
wojny w 1812 r. i odsłonięcia pom-
nika Cesarza Aleksandra III, wy-
bite będą specjalne monety rub-
lowe.

— W tych dniach wyruszyła
rosyjska wyprawa do bieguna pół-
nocnego, na czele której stanął
porucznik Siedow, a należą do niej:
geograf Wiese, geolog Pawłow,
lekarz Kuszakow i artysta Pinię-
gin.

— W roku bieżącym parasol
obchodzi 200 letni jubileusz swe-
go istnienia; pierwszym, który za-
czął używać tej tak dziś popular-
nej ochrony od deszczu, był an-
glik z Londynu niejaki Jonas
Honway.

— W Pruszkowie pod Warsza-
wą w dn. 25 Sierp. odbyła się inau-
guracja ochotniczej straży ogni-
wej pruszkowsko-żbikowskiej, któ-
rej komendantem został znany fa-
brykant p. Józef Troetzer.

— W Poznaniu w ostatnich
10 latach statystyka wykazuje o-
gromny, bo 25% sięgający ubytek
żydów, natomiast zwiększa się
przyrost Niemców.

Z miasta. Budżet naszego mia-
sta w r. 1911 r. przedstawiał się
w następujących cyfrach: dochody
ogólne wraz z pozostałością z 1910
roku wynosiły 16,193,204 rb., wy-
datki zaś 10,490,178 rb.

— Magistrat miasta Warszawy
uchwalił wnieść do budżetu swego
na 1913 r. sumę rb. 200,000 na budo-
wę miejskiego Muzeum Sztuk pię-
knych, którą rozpocznie niezwłocz-
nie po objęciu w posiadanie pla-
ców nabytych w tym celu w al.
Jerozolimskiej.

— W Warszawie ma być ot-
warte w różnych dzielnicach 10
nowych oddziałów telegraficznych,
a na Pradze — jeden.

Ze Świata. Wyspa turecka Ika-
ria (Kariot), leżąca na zachód od
Samosu, licząca 13000 mieszkań-
ców, ogłosiła swą niezależność i u-
tworzyła oddzielne wolne państwo.

— W Berlinie wskutek podpa-
lenia zgorzał teatr „des Westens“
podczas dnia, wobec czego ofiar w
ludziach nie było. Straty oblicza-
ne są na przeszło 300000 marek.

— W Oberhausen w prow. reń-
skiej postanowiono zbudować dom
polski, projekt ten wywołał ogro-
mne zaniepokojenie wśród haka-
tystów.

— Uroczysty pogrzeb zmar-
łego mikada Mutsu-Hity, przy na-
der liczny udział członków rod-
zin panujących europejskich, od-
będzie się w Tokio dn. 10 b. m.

— Dn. 1 b. m. w Tarnobrzegu
(Galicja) odbyła się uroczystość
oddania daru narodowego pocie
ludowemu Ferdynandowi Kurasio-
wi w postaci zagrody wiejskiej w
Dzikowie pod Tarnobrzegiem.

Osobiste. W stanie zdrowia
Ks. biskupa Bandurskiego, który
ciężko zaniemógł, nastąpiło po-
lepszenie, wróżące szybkie wyzd-
wienie dostojnego pasterza.



TYPY I TYPKI.

„SALATA”.

Bywał pełen fantazji,
Kiedy kropnął małmazji,
Zawadziwszy o szynceł na rożku,
Dziś, gdy bieda przyciska,
Już w nim humor nie błyska
I utracił na minie potroszku.

Niegdyś miał dość plonów,
Kłął jak czterech dragonów,
Jednokonką powożąc, ciął z bata;
Dziś zarabia nie bardzo,
Jednokonką już gardzą
I kłąć nawet zapomniał Salata.

Dawniej dumnie spozierał,
Pasażerów wybierał,
Hardość przymiot był jego nie
[rzadki,

Dziś każdego rad chwyta,
O napiwek nie pyta,
Jedzie choćby za miejskie rogatki

Dzisiaj inne zwyciężaje,
Samochody, tramwaje
Spadły na kształt Bożego dopustu;
Jazda dryndą już nudna,
Ludziom drynda za brudna,
To znów szkapa nie trafia do gustu.

W jednokonce zasiada
Szara ludzka gromada,
Nie, jak dawniej, publiczność bo-
[gata.

„Kiepskie czasy dziś!... O źle!...”
Szepeć zeicha, na koźle
Pół dnia siedząc beczynnie—Sa-
[lata.

Krogulec.



SANATOGEN BAUERA

jest najlepszym odżywcym i wzmacniającym środkiem
dla wycieńczonych nerwów i osłabionego organizmu.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnośnieniem do domu, rocznie rb. 4.— półr. rb. 2.— kwart. rb. 1.— Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ 4.60 „ „ 2.30 „ „ 1.15 halerzy 25.
Za granicą i za oceanem „ „ „ 5.— „ „ 2.50 „ „ 1.25
W Austrii i Galicji „ „ „ 12 kor. 50 h. „ 6 kor. 50 h. „ 3 kor. 30 h. Zmiana adresu—20 k.

OENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 kop.
Reklamy—40 kop. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 kop. Na 4 str. okładki—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień”.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor Feliks Kwaśniewski. Kierownik liter. Wacław Grubiński.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.